



KATARZYNA MAJGIER

ŚWIATŁO
I CIEŃ



KUCHENNYMI DRZWIAMI





KATARZYNA MAJGIER

ŚWIATŁO
I CIEŃ

KUCHENNYMI DRZWIAMI

oddechy



Katowice 2024

Text © copyright by Katarzyna Majgier 2017

Digital edition © copyright by Aleksandria Media sp. z o.o. 2024

Projekt okładki: Anna Slotorsz

Przygotowanie edycji elektronicznej: Emilia Domańska

ISBN 978-83-67940-65-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tego pliku nie może być rozpowszechniana i udostępniana publicznie w jakiegokolwiek formie zapisu i w jakikolwiek sposób bez zgody właściciela praw autorskich.



Wydawca: Oddechy

Aleksandria Media sp. z o.o.

al. Wojciecha Korfantego 138

40-156 Katowice



I

Karol Rozchodowski podniósł zakrwawioną głowę i rozejrzał się wokół, mrużąc napuchnięte powieki. Zofia cofnęła się przestraszona, a on wbił w nią wzrok.

– Myślałaś, że mnie zabiłaś? – odezwał się ochryłym głosem.

Zofii zakręciło się w głowie. Dygotała z przerażenia.

– Myślałaś, że możesz mnie zabić? – Roześmiał się.

Oparł ręce na biurku i spróbował się podnieść.

Zofia chciała uciec, ale poczuła, że nogi wrosły jej w podłogę.

* * *

– Ma gorączkę – doszedł ją głos jakby z innego świata.

– Trzeba będzie iść po Mikoszową.

– Może by sprowadzić doktora? Czy to groźne? Nigdy tak nie chorowała.

Głosy należały do jej synów: Bronka i Staszka, a ona była w domu. Leżała w łóżku i... to wszystko tylko jej się przyśniło!

Odetchnęła z ulgą, patrząc na przyglądających jej się chłopaków. W izbie było już jasno.

– Zaraz wstanę – mruknęła, unosząc się na łokciach.

Głowa ją bolała. I była jakaś słaba...

– Mama zostanie w łóżku – powiedział stanowczo Bronek. – Zachorowała mama – wyjaśnił.

– Ja? – zdziwiła się.

Rzadko chorowała. Czasem tylko bolało ją gardło, ale zwykle samo przechodziło. Teraz jednak czuła się dziwnie słaba i roztrzęsiona.

„To przez ten koszmarny sen” – pomyślała, ale wtedy uświadomiła sobie, że nie wszystko było snem. I że nie minęła jeszcze doba, odkąd po latach zobaczyła Karola Rozchodowskiego i... „O Boże! Co ja zrobiłam?!” – przypomniała sobie i opadła na łóżko.

– Mama leży i odpoczywa – nakazał Bronek. – Żeby się mamie nie pogorszyło.

Ledwie go słyszała.

– Pójdę po Mikoszową – zdecydował Staszek. – Może już wstała?

Zofia popatrzyła na swoich niczego nieświadomych synów. Za nimi, w drzwiach, zamajaczyła postać Janki, najmłodszej z rodzeństwa.

Zofia zamknęła oczy i zastanowiła się, co właściwie jest snem, a co zdarzyło się naprawdę.

Była w dworku, w gabinecie, znalazła tam broń i trzymała ją w ręce, przypominając sobie napad na sklep. A wtedy wszedł Karol Rozchodowski. Starszy, zniszczony przez wiek i nałogi. Nawet jej nie rozpoznał. Nie miał pojęcia, że kiedyś...

Zadrżała. Może to też jej się śniło? Może wcale nie wzięła pistoletu? Może wcale go nie zastrzeliła?

A jednak ciągle czuła w rękach chłodny dotyk broni. I myślała o napadzie w sklepie, który kiedyś tak ją przeraził, a teraz sama zrobiła coś podobnego.

Ona, Zofia Muchowa, szanowana gospodyni z Korczyc, wymierzyła lufę w głowę człowieka i powiedziała: „Rób, co każę, bo łeb odstrzelę!”...

A potem strzeliła.

* * *

– Ano, ma gorączkę – orzekła Mikoszowa, staruszka pełniąca w Korczycach funkcję znachorki.

– Ale wyzdrowieje? – upewnił się Staszek.

Mikoszowa wzruszyła ramionami.

– Wszystko w rękach Boga – oświadczyła, nabożnie wznosząc oczy ku niebu. – Będzie chciał, to wyzdrowieje.

– To coś groźnego? – zaniepokoił się Broniek.

– Wszystko może być groźne – ucięła Mikoszowa. – Gorączka nie bierze się z niczego. Coś musi jej być. Boli cię coś? – spytała Zofię.

– Nie – mruknęła chora. – Tak – zmieniła zdanie. – Głowa...

Mikoszowa zrozumiała, że się z nią nie dogada.

– Zjadła wczoraj coś nadpsutego? – spytała synów.

Nie wiedzieli.

– A może długo była na słońcu i jej przygrzało?

To było całkiem możliwe.

– Poszła wczoraj piechotą do Zbuczyny – powiedział Staszek.

– Niech leży i śpi – zarządziła Mikoszowa, wychodząc przed dom. – A co te krowy tak ryczą? – zainteresowała się. – Niewydojone?

Krowy ciągle jeszcze były w oborze, a Janka gdzieś przepadła.

Staszek zajrzał do domu. Siostra siedziała przed lustrem, napawając się widokiem swoich bujnych jasnych włosów.

– Krowy wydojone? – spytał, choć widział w kuchni puste wiadra.

Nie odpowiedziała. Nie będzie jej rozkazywał.

– Ogłuchłaś? – Nie wytrzymał.

Spojrzała spod oka i uśmiechnęła się kpiąco, ale nadal się nie odzywała.

– Jazda, gówniaro, do obory! – warknął, wyszarpując spod niej krzesło. – Ale już!

– Co robisz?! – krzyknęła.

– Myślisz, że jak matka chora, to będziesz się lenić?

Spojrzała groźnie, jakby zamierzała rzucić się na niego i wydrapać mu oczy, ale do izby zajrzała Mikoszowa.

– A ta co? Dopiero wstała? – oburzyła się, widząc nieprzebraną jeszcze Jankę z rozpuszczonymi włosami. – Krowy ryczą, niewydojone i głodne. Taka z ciebie gospodyni rośnie?

Janka dobrze wiedziała, że stara ma długi język, a co gorsza we wsi ją szanują i słuchają, co mówi. Zależało jej na dobrej opinii.

– Zaraz je wydoję – powiedziała poważnie. – Ale mama ważniejsza od krów i najpierw musiałam zająć się nią – dodała.

Staszek wiedział, że nawet nie podeszła do łóżka matki. Janka coraz bardziej go drażniła.

* * *

Zofia siedziała przed trzema poważnymi funkcjonariuszami. Ten pośrodku, dowódca, patrzył na nią przenikliwie.

– Widziała pani zajście? – pytał.

Usiłowała mu odpowiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle.

– Co robił denat, kiedy weszła pani do pokoju?

Otwierała usta, ale nie mogła wykrztusić ani słowa.

– Opowie nam pani, co się zdarzyło?

– Ja... – odezwała się wreszcie, ale nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

– Zabiła go pani – orzekł dowódca, a jego podkomendni powstali. – Czekają panią kara śmierci.

Zerwała się gwałtownie, aż Janka, która szukała czegoś w szafie, podskoczyła i spojrzała na nią badawczo. Zofia jednak nawet nie odwróciła się w jej stronę. Dziewczyna odetchnęła z ulgą i schowała jedwabną chustkę matki za koszulę.

– Ja... – wykrztusiła.

Bronek, który wszedł do kuchni, usłyszał ją i zajrzał. Zauważył Jankę grzebiącą w szafie.

– Co ty robisz? – spytał.

– A co ci do tego? – odburknęła, ale Bronek patrzył na matkę. Była rozpalona i cała się trzęsła.

– Za obiad byś się wzięła! – rzucił do Janki, która udała, że go nie słyszy. – Przyniosłaś matce pić?

Nie odpowiedziała, więc sam poszedł po wodę.

– Bierz się do roboty, bo pożałujesz! – warknął na siostrę, która odpowiedziała pogardliwym spojrzeniem i wyszła z izby tanecznym krokiem.

„Chcą mi rozkazywać!” – pomyślała obrażona.

Stała przed lustrem i zawiązała jedwabną chustkę matki, a potem potarła usta i policzki świeżo rozkrojonym burakiem. Tak udała się do swoich przyjaciółek – najpierw do Nastki, potem do Władki. Obie miały przystojnych braci...

Przy okazji zamierzała przejść się przez wieś, żeby wszyscy ją zobaczyli. Lubiła, jak ludzie na nią patrzyli. Wiedziała, że jest ładna.

Kiedy Staszek i Bronek wrócili z pola, spodziewali się, że czeka na nich obiad, ale w domu była tylko matka, która spała rozpalona gorączką. Jankę gdzieś poniosło. Nawet nie pozmywała po śniadaniu, nie wspominając o tym, że nie wzięła się do gotowania obiadu.

Zaniedbała wszystkie obowiązki i zostawiła matkę samą, nie przynosząc jej nawet nic do picia. Po krowy poszła tylko dlatego, że Nastka i Władka też musiały przyprowadzić i wydoić swoje, a ona nie chciała, by we wsi gadali, że jest leniwa.

Bronka i Staszka, choć byli tak różni, jednakowo oburzały poczynania młodszej siostry.

– Darmozjad rośnie! Matkę chorą samą zostawiła...

– Trzeba pojechać po Klimę – orzekł Bronek, a Staszek przyznał mu rację.

Zamierzali tego popołudnia skończyć kosić zagon za domem, ale zmienili plany.

– Mogę pojechać – dodał Bronek nieśmiało. Nie chciał tego narzucać, bo Staszek mieszkał tu na co dzień i lepiej wiedział, co trzeba zrobić.

– Dobra – zgodził się Staszek, który nie lubił jeździć do Krakowa.

– Jedź, a ja zostanę z mamą.

* * *

Klima była w pracy, w zakładzie fotograficznym Józefa Kwietnia, gdzie zatrudniła się przed rokiem, marząc o nauce fotografii. Ciągle jednak nie miała okazji stanąć za obiektywem aparatu. Tym zajmował się sam właściciel. Nawet jego syn Wacław nie był do tego dopuszczany. Ale on przynajmniej wywoływał zdjęcia i uczył się zawodu.

Klima, choć pracowała tu jako pomoc fotografa, w rzeczywistości była służącą. Sprzątała, chodziła na posyłki, ustawiała dekoracje tak, jak nakazywał jej szef, albo zajmowała się dziećmi klientów.

Kończyła myć szybę w drzwiach, kiedy nadszedł Olek Dąbrowski, świeżo upieczony student medycyny. Ucieszyła się na jego widok, choć wiedziała, że jej pracodawca nie będzie zadowolony. Nie lubił, kiedy ktoś do niej przychodził w godzinach pracy.

– Coś się stało? – spytała Olka.

Skinął głową.

– Nie wiesz, kiedy twoja ciocia wróci z podróży poślubnej?

Nie miała pojęcia. Wyglądało na to, że nie tylko ona. Ostatnio próbowała dowiedzieć się czegoś w domu męża ciotki, przemysłowca Albina Mohnara, lecz jego służba też tkwiła w niepewności. Klima spytała o Rudolfa, majordomusa, który zarządzał domem, ale okazało się, że państwo zabrali go ze sobą.

Po ślubie Franciszki Klima została sama w wynajętym mieszkaniu na Starowiślniej, zastanawiając się, jak to będzie, kiedy ciotka przeprowadzi się do małżonka. Czy ona też ma się tam przenieść? Czy powinna korzystać z gościnności nowego wuja? Albin Mohnar należał do najbogatszych ludzi w Krakowie, więc nie wyobrażała sobie, że zamieszka u niego.

Martwiła ją także sytuacja w pracy. Chętnie porozmawiałaby o tym z Olkiem, ale nie w zakładzie. Spytała go, czy mogą spotkać się wieczorem, ale on nie zamierzał czekać.

Miał ważną sprawę, która od dwóch dni nie dawała mu spokoju, i musiał jak najszybciej omówić ją z Klimą. Chodziło o niedawno zmarłą sąsiadkę z kamienicy.

Klima nie przypominała sobie tej kobiety i nie rozumiała, dlaczego Olek opowiada o niej, przeszkadzając jej w pracy, dopóki nie wspomniał, że to osoba zajmująca lokal, w którym kiedyś mieszkały Franciszka z przyjaciółką, angielską nauczycielką Wiktorią Hallam.

– Mieszkała sama i pogrążała się w szaleństwie, od dawna unikała ludzi, dopiero po trzech dniach zauważono, że umarła – opowiadał. – Poszliśmy tam z ojcem i znalazłem u niej listy, które panna Wiktoria pisała do twojej cioci.

– Ciocia zapomniała zabrać te listy, kiedy się wyprowadziła? – zdziwiła się Klima.

Nie sądziła, żeby ciocia Franciszka mogła przeoczyć akurat to.

– Nie. – Olek patrzył na nią poważnie. – Ona nigdy nie dostała tych listów.

Klima spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Przychodziły po wyjeździe panny Wiktorii, kiedy panna Franciszka już tam nie mieszkała – tłumaczył Olek. – Panna Hallam pisała je przez te wszystkie lata, a twoja ciocia nie wiedziała o tym, bo listy odbierała ta szalona kobieta i nic nikomu nie mówiła.

Klima pobladła.

– Ciocia Wiktoria przez te wszystkie lata pisała do cioci Franciszki? – upewniła się, a Olek przytaknął.

– Znalazłem te listy dopiero w tę niedzielę – dodał. – Po tym, jak panna Franciszka wyszła za mąż.

Oboje wiedzieli, co łączyło Franciszkę z Wiktorią.

– Nie mam pojęcia, co z tym zrobić – wyznał Olek. – Powinienem oddać te listy twojej cioci, ale... ona właśnie wyszła za mąż.

Olek był w rozterce, a Klima to rozumiała.

– Akurat teraz się znalazły... – westchnęła. – Ciocia wydaje się szczęśliwa z panem Mohnarem. Te listy wszystko skomplikują.

– Wyobrażam sobie – potwierdził Olek. – Ale chyba nie mam prawa ukrywać tego przed nią?

– Nie – zgodziła się Klima. – Trzeba będzie oddać jej te listy, kiedy wróci.

„Choć to może złamać jej serce” – pomyślała.

* * *

Bronek zaprzęgał konia, kiedy Janka wyszła z obory z wiadrem mleka. Obaj ze Staszkiem zrobili jej awanturę, że zostawiła matkę samą i nie ugotowała obiadu, ale ona tylko uśmiechnęła się pod nosem i ruszyła do domu. Chwilę później wyszła z niego niespiesznie, kierując się w stronę furtki.

Zofia słyszała ich głosy jak przez mgłę, bo czekała na wykonanie wyroku. Wiedziała, że zostanie powieszona za morderstwo, ale jeszcze musi coś zrobić. Tylko co? Co trzeba zrobić przed śmiercią?

„Wyspowiadać się!” – przypomniała sobie.

Uniosła się na łóżku i zawołała Jankę, ale przyszedł Staszek.

– Stasiu – powiedziała przytomnie. – Sprowadź mi księdza.

– Księdza? – przestraszył się. – Ale przecież mama nie umrze...

– Sprowadź mi księdza – powtórzyła stanowczo.

Staszekowi przypomniało się, że kiedyś, gdy miał ospę i leżał w gorączce, matka wezwała do niego księdza, by udzielił mu namaszczenia. Potem wyzdrowiał i wszyscy mówili, że to właśnie dzięki temu sakramentowi. Może o to jej teraz chodziło? Ale może naprawdę czuła, że umiera?

To go przeraziło. Nie skończył jeszcze czternastu lat. Uważał, że nie poradziłby sobie sam, zwłaszcza z tą bezczelną gówniarą pod opieką. Klima i Bronek byli starsi, ale jego zdaniem wiedzieli o gospodarstwie mniej od niego. Oboje od lat mieszkali w Krakowie i tam się uczyli. Nie byli chłopami z prawdziwego zdarzenia jak on...

– Janka! – zawołał, wbiegając z domu, ale odpowiedziała mu cisza.

Nawet jeśli siostra go słyszała, nie zamierzała odpowiadać. Staszek miał ochotę ją trzasnąć.

Janka nie uszła daleko, gdy natknęła się na starą Mikoszową, która postanowiła zajrzeć do pacjentki. Towarzyszyły jej Rusiecka

i Kozłowa, znane we wsi plotkarki. Janka zawstydziała się, że spaceruje, kiedy jej matka leży z gorączką, więc przyspieszyła kroku.

– Janka, co z matką? Jak się czuje? – zaczęły wypytywać.

– Chora – powiedziała z troską w głosie.

– A ciebie gdzie niesie? – oburzyła się Mikoszowa. – Kto z matką został?

– A... chłopaki – zapewniła Janka. – Mnie wysłali po... różne rzeczy...

– Jakie rzeczy? – zainteresowała się Rusiecka.

– Idę do Nastki, prosić, żeby nasze krowy wygoniła na pastwisko ze swoimi. – Janka szybko to wymyśliła, bo nie pierwszy raz powierzała krowy poczciwej Nastce. – A ja posiedzę z mamą – dorzuciła i niemal pobiegła.

– Coś kombinuje – orzekła Rusiecka, a Kozłowa i Mikoszowa pokiwały głowami.

Gdy dotarły do domu Zofii, Staszek powitał je z ulgą i oznajmił, że matka wzywa księdza, a on nie mógł po niego pójść, bo bał się zostawiać ją samą.

– A Broniek gdzie? – chciała wiedzieć Rusiecka.

– Pojechał do Krakowa po Klimę – odparł Staszek i wyszedł.

To wszystko brzmiało poważnie, więc zajrzały do Zofii. Chora była rozpalona i wyglądała na nieprzytomną.

– Może to co zaraźliwego? – przestraszyła się Kozłowa, stając w drzwiach.

– Może. – Mikoszowa tylko wzruszyła ramionami, więc obie sąsiadki zostały w kuchni.

* * *

Broniek dotarł do Krakowa niedługo przed zakończeniem dnia pracy u Kwietniów. Kiedy wszedł do zakładu, Klima zamiatała już podłogę, a Józef Kwiecień i jego syn zbierali się do wyjścia.

Widok Bronka zaskoczył Klimę. Nie spodziewała się tu brata, który lato spędzał w rodzinnym domu, pomagając w pracach polowych.

- Coś się stało? – spytała zaniepokojona.
- Mama chora – odparł. – Żle z nią – dodał.

Zabrzmiało to na tyle poważnie, że Józef Kwiecień dał Klimie wolne, by mogła pojechać do domu.

* * *

Staszek miał szczęście. Zanim dotarł na plebanię, spotkał księdza, który wracał od innego chorego.

– Co się dzieje? Zaraza jakaś? – spytał, usłyszawszy o kolejnej osobie, która potrzebuje sakramentu.

– Nie wiem, co z matką – przyznał Staszek. – Mikoszowa mówi, że może to od słońca. Wczoraj poszła do Zbuczyny i wróciła późno. Była jakaś niewyraźna. Nic nie mówiła, tylko od razu się położyła...

– Do Zbuczyny? – podjął ksiądz. – To ona była wczoraj w Zbuczynie? – ożywił się. – Zastanawiałem się, kto to mógł być... Mówiła, jak to się stało?

Staszek nie rozumiał.

– Wczoraj w Zbuczynie zastrzelił się człowiek – wyjaśnił duchowny. – Nic matka nie mówiła?

– Nie.

– Strzelił sobie w głowę na oczach jakichś kobiet. Jedna podobno przyszła do niego z Korczyc, oddać jakieś pieniądze. Nie wiedziałem, że to Muchowa...

– Strzelił sobie w głowę? – powtórzył zaintrygowany Staszek. – Jak to? Dlaczego?

– Matka nic nie mówiła? – Ksiądz nie posiadał się ze zdumienia.

Próbował sobie przypomnieć, czy poprzedniego dnia do Zbuczyny nie wybrała się też jakaś inna gospodyni. Sądził, że ktoś, kto był świadkiem takiego zdarzenia, na pewno ma co opowiadać. Sam chętnie by posłuchał.

– Nie. W ogóle chyba się za bardzo nie odzywała. – Staszek dopiero teraz to sobie uświadomił. – Pewnie już ją choroba brała.

– Może to z nerwów? – zastanowił się ksiądz. – Jak on tak na jej oczach strzelił sobie w łeb...

Staszek nie mógł sobie tego wyobrazić.

– Ale dlaczego się zastrzelił? – powtarzał. W głowie mu się nie mieściło, że można samemu sobie odebrać życie. Przecież na świecie chodziło o to, żeby przetrwać.

– Przepił ponoć majątek – odparł ksiądz. – Zostawił żonę i dzieci z długami.

– I dlatego się zastrzelił? – Staszek ciągle nie dowierzał. – Jak można... jak można samemu się zabić?

– No właśnie. – Ksiądz pokiwał głową. – Bóg daje życie, a człowiek nawet tego nie potrafi uszanować. Taki grzech... – Pokręcił głową. – To wieczne potępienie – dodał ponuro.

* * *

Zofia czekała na wykonanie wyroku i myślała o swoich dzieciach, które osieroci, kiedy powieszą ją za morderstwo. Słyszała ich głosy i widziała, jak Janka grzebie w jej rzeczach i chowa za koszulę najlepszą jej jedwabną chustkę, którą kiedyś dostała od męża.

Coś niedobrego działo się z tym dzieckiem. Najpierw poszła sama do Zbuczyny i zatrudniła się jako służąca wbrew woli matki. Teraz pyskowała i widząc, że matka jest chora, brała jej rzeczy.

A to wszystko spada na Zofię akurat wtedy, kiedy czeka, aż ją powieszą za morderstwo. Co się stanie z Janką?

Klima i Broniek sobie poradzą. Staszek to też jeszcze dzieciak, ale spokojny i pracowity. Będzie musiał pójść na służbę, ale to chłopak, silny i zaradny, da sobie radę. Ale Janka... Nie wiadomo, u kogo przyjdzie jej służyć... I jak to się skończy.

Zofia pamiętała, co ją spotkało u Rozchodowskich, choć przecież była starsza od Janki i miała swój rozum.

Powinna poszukać córce służby u kogoś takiego jak Gulasowa. Porządnej gospodyni o twardym charakterze i surowych zasadach. To najlepsze wychowanie dla młodej dziewczyny. Albo u sióstr!

Wczoraj powiedziała Jance w złości, że ją tam odda, ale to naprawdę był bardzo dobry pomysł.

Siostry się nią zaopiekują. Dobrze ją wychowają i uchronią przed zepsuciem. W klasztorze wyrosnie na dobrą chrześcijankę i gospodynię. Może nawet znajdzie powołanie?

Zofia pomyślała, że musi się tym zająć, zanim ją powieszą, bo gdy umrze, będzie za późno. A tam, po drugiej stronie, może spotka Klemensa? On na pewno zapyta o Jankę. Była jego ukochanym dzieckiem. I co ona mu powie? Że zostawiła to dziecko na poniewierkę i naraziła na krzywdy?

Nie, musi zapewnić Jance przyszłość, żeby oboje z Klemensem byli o nią spokojni na tamtym świecie.

* * *

Ksiądz wszedł do domu i od razu poczuł atmosferę choroby i nadchodzącej śmierci.

W zwykle czystym domu Muchowej podłoga była niezamieciona, na stole w kuchni stały brudne naczynia, a po sieni przechadzała się kura.

W izbie przy chorej siedziała stara Mikoszowa, a w kuchni sąsiadki. Na widok duchownego wstały i podeszły bliżej, na ich twarzach malowała się uroczysta powaga.

Zofia uniosła głowę. Nie od razu go rozpoznała. Najpierw zobaczyła Staszka.

– Gdzie Janka? – spytała.

– Janka... zaraz przyjdzie – odparł z wahaniem, ale Zofia nie była tego pewna.

Zobaczyła księdza i przywitała go całkiem przytomnie.

Sąsiadki niepewnie zajrzały do izby, więc dała im znak, żeby weszły.

– Kiedy umrę... – powiedziała zachrypłym głosem. Odchrząknęła i wyraźniej powtórzyła: – Kiedy umrę, oddajcie Jankę na służbę do sióstr.

Janka gawędziła na miedzy z chłopakami od Kozłów, kiedy podjechała wozem Królikowa i ostro ją napomniała:

– Do twojej matki ksiądz wezwali, a tobie chłopaki we łbie!

Dziwnie na nią popatrzeli, więc zrobiła wszystko, co mogła, aby zatrzeć złe wrażenie.

– Do mojej mamy?! – zawołała przerażona. – O mój Boże! A co się stało?

I puściła się biegiem do domu.

Gdy weszła, matka właśnie wymogła na zebranych obietnicę, że po jej śmierci oddadzą ją na służbę do sióstr.

„Jak jakąś latawicę!” – pomyślała oburzona, słysząc te słowa.

Bo przecież to był wstyd... Ludzie różne rzeczy gadali o dziewczynach, które tam wysyłano.

Janka czuła się, jakby matka przy wszystkich ją spoliczkowała albo zwyzywała od najgorszych. Czym sobie na to zasłużyła?! Przecież była dobrym dzieckiem!

Ciągle była przekonana, że jest córką, o jakiej marzą wszyscy rodzice świata. Dlaczego nagle popadła w aż taką niełaszkę, że matka na łożu śmierci każe ją oddać na służbę do klasztoru? Może od tej choroby pomieszało jej się w głowie?

„Nie może teraz umrzeć!” – postanowiła Janka. „Musi zrozumieć, że jestem jej najlepszym dzieckiem, i pamiętać o tym, kiedy naprawdę będzie umierać!”.

Zaczęła się gorączkowo modlić, po czym zajrzała do nieposprzątaney kuchni i zakasała rękawy. Sąsiadki siedziały na ławie... Bardzo dobrze! Niech widzą, jaka z niej dobra i pracowita córka. Nawet w takiej sytuacji, gdy do jej matki wezwano księdza, potrafi wziąć się w garść i godnie zastąpić gospodynię.

* * *

– Bardzo zgrzeszyłam – wyznała Zofia. – Zabiłam człowieka.

Ksiądz zaniemówił.

– Co takiego? – spytał zdumiony.

– Zabiłam człowieka – powtórzyła skromna i pobożna gospodyni wiejska, której życie, jak sądził duchowny, mogłoby być przykładem dla wielu kobiet.

– Jak to? – wykrztusił zdumiony. – Kogo? Kiedy?

– Wczoraj – odparła. – Zabiłam Karola Rozchodowskiego ze Zbuczyny.

„Aha, więc o to chodzi” – uspokoił się ksiądz.

Ta biedna kobieta musiała być w szoku po tym zdarzeniu. Stąd gorączka i te urojenia. A może urojenia miała też od gorączki? Tak czy owak, na pewno nie zabiła tego człowieka, skoro on sam się zabił i to przy ludziach.

Przypomniała mu się historia, którą opowiadano w okolicy, o kobiecie, której dzieci zaprószyły ogień w stodole i spłonęły w niej, gdy matka pracowała w polu. Z rozpaczy tak jej się pomieszało w głowie, że do końca życia opowiadała, że sama pozabijała te dzieci, choć pół wsi widziało ją w polu, kiedy stodoła się paliła, a dzieci chwilę wcześniej bawiły się zdrowe na podwórku.

Muchowej musiało przytrafić się coś podobnego. Szok i gorączka pomieszały jej w głowie.

„Uczciwe, pobożne kobiety przyznają się do grzechów, których nie popełniły. A prawdziwi zbrodniarze kłamią i udają niewiniątka...” – pomyślał.

Zastanowił się, czy to nie dobry temat na kazanie. Nie w zwykłą niedzielę, ale w jakieś większe święto, kiedy przyjadą inni duchowni.

– To nie ty go zabiłaś, córko – uspokoił chorą. – On sam się zastrzelił. Od wczoraj o tym mówią.

– To ja go zabiłam! – zaprotestowała.

– Nic podobnego! Jesteś dobrą chrześcijanką. Widok grzesznika, który odbiera sobie życie, mógł ci pomieszać w głowie, ale jak ty miałabyś zabić człowieka? Byli przecież świadkowie. Od rana już ze trzy razy o tym słyszałem. Mówili, że sam się zabił.

– Kłamali – ucięła.

Ksiądz westchnął ciężko.

– Byli przecież żandarmi. Gdybyś go zabiła, zabraliby cię do więzienia.

– Zabiorą.

– Nikt cię nie zabierze do więzienia – zapewnił zniecierpliwiony.

– Ten człowiek popełnił samobójstwo. Są świadkowie i zostawił list. Był grzesznikiem.

– Był – przyznała.

– Źle żył i źle umarł. A ty, córko, już o tym nie myśl, tylko wracaj do zdrowia. Masz dzieci niedorośle, trzeba je wychować...

– Tak – przyznała. – Trzeba.

W głowie jej się kręciło od tego wszystkiego i teraz już sama nie wiedziała, co się stało. Czy rzeczywiście zabiła Rozchodowskiego? Może tylko jej się tak wydawało. Przecież ksiądz tak mówił...

* * *

Pogrzeb Karola Rozchodowskiego odbył się o świcie, dwa dni po jego śmierci. Nie była to uroczystość, jakiej można by się spodziewać po rodzinie Rozchodowskich. Nie był to nawet porządny katolicki pogrzeb, choć rodzony brat zmarłego był przecież prałatem.

Karola pochowano za cmentarnym murem, bo jako samobójca nie miał prawa do pochówku w poświęconej ziemi. Wykopano mu grób obok dwóch porośniętych trawą i zapadłych mogił, o których najwyraźniej nikt nie pamiętał.

Nie było mszy ani konduktu godnego pierwszej rodziny w Zbuczynie. Przyjechali tylko najbliżsi krewni, a wszystko odbywało się jakby cichaczem, w sekrecie. Wybrano tak wczesną porę, by uniknąć gapiów i plotek.

Córki zmarłego rozglądały się niepewnie, zawstydzone. Tak teraz postrzegały śmierć ojca – jako coś wstydlivego, co trzeba będzie ukrywać. To, że nigdy już nie zobaczą ojca, jeszcze do nich nie dotarło, podobnie jak wiadomość o długach i o tym, że dworek w Zbuczynie, w którym się wychowały i który nadal uważały za swój dom rodzinny, zostanie wkrótce zlicytowany.

Nawet wdowa jeszcze nie przyjęła tego wszystkiego do wiadomości, choć w jej przypadku utrudniały to silne leki uspokajające, które zażywała od chwili, kiedy ją powiadomiono. Choć od dawna nie żyła z mężem, a od kilku lat nawet nie mieszkali razem, wieść o jego śmierci ją zaszokowała. Zwłaszcza gdy usłyszała, w jakich okolicznościach miała ona miejsce i jakie były jej prawdopodobne przyczyny.

Sytuację w pełni pojmowali trzeźwo myślący Lutnerowie, których samobójstwo Karola właściwie nie zaskoczyło. Od początku wiedzieli, że ten Rozchodowski to nic dobrego, ale nie udało się wybić go z głowy Reginie.

Podobne zdanie o bracie miał prałat Henryk Rozchodowski, który do końca wahał się, czy jechać na pogrzeb. Nie miał na to ochoty, zwłaszcza że pani Eufemia zaniemogła na wieść o tym, co spotkało jej ukochanego syna, i trzeba było zapewnić jej opiekę.

Prałat nie spał od tamtej pory. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się nie spać trzy noce z rzędu. Zazwyczaj nie miewał problemów ze snem. Należał do ludzi, którzy zasypiają, ledwie dotkną poduszki, i przesypiają całą noc, a rano wstają gotowi do działania.

Teraz był zmęczony, nie mógł się skupić i głowa mu pękała.

Osiemnastoletniemu Kazikowi, jedynemu synowi zmarłego, mglisty poranek skojarzył się z egzekucjami, o jakich czytał w powieściach. One też odbywały się o świcie, zanim świat się obudził, w zamglone wczesne poranki.

Kiedy trumnę opuszczono do wykopanego grobu, zastanowił się, czy to on powinien rzucić pierwszą garść ziemi na trumnę. A może powinna zrobić to jego matka? Spojrzał na nią i zobaczył, że stoi nieruchomo, pogrążona w narkotycznym stuporze, więc Kazik podszedł i rzucił garść ziemi.

Był przygnębiony stratą i śmiercią, jaka stała się udziałem jego ojca. Samobójstwo. To było takie straszne... Ojciec targnął się na własne życie.

Kazik bez przerwy o tym myślał, próbował sobie wyobrazić, jak to się dzieje, że człowiek decyduje się na taki krok. Co musi się z nim stać, żeby to zrobił? I żeby naprawdę tego dokonał? Żeby nie powstrzymał się, nie zrezygnował w ostatniej chwili? Kazik nie był w stanie pojąć takiej determinacji.

Stojąc pod cmentarnym murem, czuł, że coś stracił, że coś go ominęło. Właściwie nie miał ojca i nigdy już nie będzie go miał, bo ojciec umarł, zanim Kazik zdążył go poznać. Przez ostatnie lata rzadko go widywał, zwykle z daleka, bo ojciec nie szukał kontaktu z synem, a Kazik zawsze obawiał się do niego podejść.

Pamiętał, że kiedy był dzieckiem, bał się go. Wspominał ojca jako gwałtownego mężczyznę o groźnym spojrzeniu i czuł, że ten go nie lubi. Potem coś z tych lęków i obaw pozostało, bo nadal go unikał. A może to ojciec unikał jego?

Nie zajmował się nim tak, jak wuj Jan zajmował się swoimi synkami. Nie zabierał go na spacer i konne przejażdżki, nie spędzał z nim czasu i nie wołał go, kiedy przychodzili goście, żeby z dumą im go pokazać. Kazik przypominał sobie, że nawet kiedy był obecny przy gościach, ojciec go nie dostrzegał. Przedstawiał matkę i siostry, ale jego – nigdy.

Może ciągle uważał go za małe dziecko, które nie powinno znajdować się w dorosłym towarzystwie? A może rzeczywiście go nie lubił? Kazik wiedział, że ludzie czasem nie lubią swoich dzieci, nawet jeśli twierdzą, że przecież je kochają, bo to ich dzieci.

Może to była jego wina? Może za mało się starał? Nie dał się poznać ojcu?

Kazik miał poczucie, że coś zaprzepaścił...

* * *

Zofia obudziła się i od razu przypomniała sobie, że jest chora. Wszystko ją bolało. Nigdy jeszcze nie czuła się taka słaba.

Był u niej ksiądz i chciała się wyspowiadać, ale dziwna to była spowiedź, bo ksiądz jej nie wierzył. Twierdził, że wcale nie zabiła Karola Rozchodowskiego, że on sam się zastrzelił, bo tak mówili świadkowie.

Na pewno chodziło o tę dziewczynę, która skłamała.

Dlaczego to zrobiła? I dlaczego jej uwierzono? Zofia doszła do wniosku, że ona sama powinna powiedzieć prawdę. Postanowiła, że jeśli nie umrze, to zaraz gdy wstanie z łóżka, pójdzie na posterunek, przyzna się do winy i poniesie odpowiedzialność.

Pewnie ją powieszają... Ale co wtedy będzie z gospodarstwem? I z dziećmi?

Kręciło jej się w głowie i znowu zapadła w sen, a w tym śnie dryfowała w mętnej wodzie, zastanawiając się, skąd się tam wzięła.

Nagle zobaczyła nieopodal przepływającą postać – ciemne włosy, znajoma sylwetka. Klemens?

Próbowała popłynąć w tamtą stronę, ale nie dała rady.

„To dlatego, że nie umiem pływać” – pomyślała.

Bezradnie patrzyła, jak Klemens odpływa. Tymczasem z głębi wypływała inna postać, szybko i zdecydowanie. Zofia zadrżała, kiedy zobaczyła, że to Karol Rozchodowski. Znowu próbowała popłynąć do Klemensa, ale Karol zastąpił jej drogę.

– Zabiłem go – powiedział. – Zabiłem jak muchę, bo on się Mucha nazywał. I włos mi z głowy nie spadł! – Roześmiał się upiornie.

Zofią wstrząsnęła złość.

– Nie? – spytała. – Przecież zginąłeś – przypomniała mu. – Ja cię zabiłam – dodała, a Karol się cofnął. – Byłeś złym człowiekiem i należało ci się! – dorzuciła w gniewie, a on jakby się skurczył. – Nikogo już nie skrzywdzisz. Dostałeś to, na co zasłużyłeś!

Karol odpływał spłoszony.

„Dostał to, na co zasłużył” – pomyślała, otwierając oczy i rozglądając się po pokoju. „Bez niego będzie lepiej. Już nic złego nie zrobi”.

Poczuła, że zaschło jej w gardle, i sięgnęła po kubek z wodą stojący obok łóżka.

„Zgrzeszyłam, ale może byłam narzędziem w ręku Boga, który w końcu go pokarał?” – zastanowiła się, ale od razu uznała, że to bluźnierstwo. „Tak czy owak, zgrzeszyłam i kiedyś to odpokutuję, ale teraz jeszcze nie mogę tego zrobić. Mam obowiązki” – stwierdziła trzeźwo i zrezygnowała z zamiaru przyznania się do winy.

* * *

– Jak się mama czuje? – Z łóżka obok podniosła się Klima.

Zofia zamrugała z niedowierzaniem.

– Ty tutaj? – spytała zdumiona. – Skąd się wzięłaś?

Przecież Klima mieszkała i pracowała teraz w Krakowie.

– Broniek mnie przywiózł wczoraj wieczorem. Nie pamięta mama?

Nie pamiętała.

– Przywiózł też doktora Dąbrowskiego i on zapisał mamie lekarstwa.

– Doktor tu był? – Tego też sobie nie przypomiwała.

Klima wstała i przyłożyła jej dłoń do czoła.

– Spada mamie gorączka – powiedziała. – Chyba jeszcze całkiem nie spadła, ale jest lepiej – dodała. – Podać coś?

Zofia pokręciła głową, a Klima wyjrzała przez okno i zaczęła się ubierać.

Jej matka zapadła jeszcze w drzemkę, z której wkrótce obudziły ją głosy dzieci. Klima i chłopcy pospieszali i sztorcowali Jankę, która płaczącym głosem marudziła, że przecież się nie rozdzieli, by zrobić wszystko naraz.

– Uwzieliście się wszyscy na mnie! – zawołała jękliwie w stronę izby, w której leżała chora.

„Nie ma mowy, żebym teraz poszła do więzienia” – pomyślała Zofia. „Beze mnie to gospodarstwo się zawali, dzieci pójdą na poniewierkę. Co z nimi będzie? Zwłaszcza z tą durną Janką? Muszę uratować duszę tej dziewczuchy!” – postanowiła.



II

Kiedy Zofia wracała do zdrowia, jej kuzynka Franciszka, przebywająca w podróży poślubnej, coraz częściej spędzała czas samotnie. Albin Mohnar zabrał ją na wycieczkę po Europie, ale dotarli tylko do Wiednia.

Spodobała im się możliwość niespiesznego zwiedzania i spokojnego odpoczynku. Oboje dużo pracowali, a teraz mogli odetchnąć i to im odpowiadało.

Do Wiednia przyjechali po wizycie w Pradze, która okazała się krótsza, niż planowano, bo choć brat Albina zaakceptował jego wybrankę, jego żona ciągle była oburzona mezaliansem i nie kryła swej niechęci. Po drodze nowożeńcy zatrzymywali się w malowniczych wioskach i miasteczkach, ale w Wiedniu zabawili dłużej.

Franciszka była zachwycona miastem i spędzała całe dni na zwiedzaniu, spacerach i zakupach. Mąż czasem jej towarzyszył przed południem i wieczorami, ale popołudniami wychodziła sama.

– Albin musi więcej odpoczywać, to ważne dla jego zdrowia – wyjaśniała sąsiadom z hotelu, którzy się temu dziwili.

– I pozwala pani wychodzić na długie godziny? – zdumiała się jedna z dam. – To miło z jego strony – przyznała. – Większość mężów lubi mieć żonę w domu, żeby podawała herbatę, ciastka, cygara czy na co tam mają ochotę. Jakby nie wystarczyła im służba – dorzuciła, spoglądając na własnego, znacznie starszego małżonka.

– Mojemu mężowi wystarcza. – Franciszka się uśmiechnęła. – Ma przecież Rudolfa.

Bawiło ją to, że Albin uchodzi za wyrozumiałego męża, podczas gdy w rzeczywistości był w tej podróży właśnie z Rudolfem. Kiedy pytano, czy pan Mohnar nie nudzi się sam w hotelu, odpowiadała, że jej mąż na pewno świetnie się bawi.

„Ciekawe, co oni sobie o nas myślą?” – zastanawiała się czasami.

Albin też często pytał ją, czy się nie nudzi. Rudolf zaś wpadł na pomysł, aby zatrudnić jej damę do towarzystwa.

– Może Angielkę? – zaproponował. – Mogłaby pani podtrzymywać znajomość języka, a może i ja mógłbym się uczyć?

Rudolf marzył o nauce angielskiego, bo tego języka używano w Ameryce, która go fascynowała. Zaczytywał się w amerykańskich powieściach i chciał kiedyś tam pojechać.

Franciszka zastanawiała się, czy pomysł „damy do towarzystwa” nie ma na celu zapewnienia jej partnerki. Kogoś, kto byłby dla niej tym, kim Rudolf dla Albina. Wiedziała jednak, że to nie takie proste, i Albin też to wiedział.

* * *

– Taki mezalians! Taki mezalians! – szlochała tymczasem jej szwagierka, pani Albertowa Mohnarowa, zwierając się z kłopotu siostrze, pani Oberwaldowej, w jej willi na przedmieściach Pragi. –

Kobieta bez pochodzenia, bez posagu, praktycznie bez rodziny. Zaprosiła na ślub jakichś wieśniaków. I to byli jej krewni!

Pani Oberwaldowa patrzyła na nią ze współczuciem.

– To okropne – szepnęła, wyobrażając sobie, jaki wstyd musiał to być dla jej siostry. Prostacy ze wsi jako rodzina panny młodej na ślubie szwagra!

– Nie odebrała nawet żadnego wykształcenia – ciągnęła zrozpaczona pani Mohnarowa. – Pracowała jako jego sekretarka, ale wcześniej była szwaczką... Szwaczką! Wyobrażasz to sobie?

– Nie – przyznała pani Oberwaldowa. – Skoro była szwaczką, to jakim sposobem została sekretarką? – zainteresowała się.

– No właśnie... – jęknęła pani Mohnarowa. – Najpierw zatrudnił szwaczkę jako swoją sekretarkę, a potem się z nią ożenił.

– Niebawem!

– A do tego wszystkiego jeszcze okazała się bękartem – dodała pani Mohnarowa szeptem pełnym zgrozy.

– Coś podobnego! – Pani Oberwaldowa wytrzeszczyła oczy. – Ale może... jej ojciec to ktoś...?

Siostra tylko pokręciła głową.

– Nic podobnego! – prychnęła. – To pewnie jakiś woźnica albo inny poganiacz była. I ktoś taki... w naszej rodzinie... – Zaniósł się płaczem.

– Rzeczywiście – przyznała ze współczuciem pani Oberwaldowa.

– To wielki problem dla waszej rodziny – podkreśliła, wyraźnie odcinając się od nieszczęsnej rodziny Mohnarów. – To straszne, że twój szwagier zdobył się na coś podobnego... Ta kobieta musiała go omotać... – Spróbowała sobie wyobrazić tę osobę. – Pewnie jest bardzo piękna? Niejeden stracił głowę dla młodości i urody.

– Ależ skąd! – obruszyła się pani Mohnarowa. – Ani piękna, ani młoda! Jest taka wielka, prawie jak Albin i mój Albert – oznajmiła z niesmakiem. – Kto to widział, żeby kobieta była taka olbrzymia? Na dodatek jest chyba starsza od nas.

– Naprawdę?! – Pani Oberwaldowa nie posiadała się ze zdumienia.

Nie pojmowała, jak ktoś z majątkiem i pozycją Albina Mohnara mógł się zakochać w prostytutce niewiadomego pochodzenia, która nie była nawet piękna i młoda.

– Naprawdę – potwierdziła jej siostra ponuro.

Pani Oberwaldowa zastanowiła się i uśmiechnęła pod nosem.

– Ale skoro tak, to chyba ma to pewne dobre strony – pocieszyła siostrę.

– Jakie? – Pani Mohnarowa nie rozumiała, a pani Oberwaldowa zmrużyła oczy.

– W tym wieku nie urodzi już dzieci – oznajmiła radośnie. – I cały majątek szwagra przypadnie kiedyś twoim.

* * *

Nie każdy jednak myślał w ten sposób o małżeństwie Mohnara. Większość pracowników odlewni rozumiała jego wybór. Lubili Franciszkę i uważali, że taka miła, a przy tym silna kobieta to znakomity materiał na żonę. Robotnicy, szofer i stary woźnica uważali, że Mohnar bardzo dobrze zrobił, żeniąc się z nią.

Nawet stary Adolf Szyнкler, dziadek panny Adeli, która przecież miała wyjść za Albina, choć oficjalnie był oburzony mezaliansem, uznał, że Mohnar postąpił roztropnie. Znalazł sobie żonę w swoim wieku, trzeźwo myślącą i znającą interesy odlewni, zamiast poślubić jego wnuczkę, która była od niego dwa razy młodsza i miała pstro w głowie.

Zofia, która przez tyle lat załamywała ręce nad staropanieństwem Frani, ciągle nie pojmowała tej sytuacji. Jednak z dumą pokazywała ślubne zdjęcie Mohnarów, choć Klima uważała, że jest kiepskie. Państwo młodzi mieli zdziwione miny, a na twarz ciotki Franciszki padał cień koronkowego kapelusza przez co jej czoło wyglądało jak pokryte bliznami.

– Żle to oświetlono – orzekła.

Pracowała u fotografa, ale wszyscy wątpili, czy naprawdę zna się na robieniu zdjęć, bo każdy, kto widział ją u Kwietnia, był świadom, że nie tym się zajmowała. Po prostu tam służyła. Ona też to zauważała, a co gorsza, przekonała się, że to się nie zmieni. Po roku pracy nie robiła niczego, co pozwoliłoby jej uczyć się zawodu, który ją interesował.

Wzięła kolejne wolne dni, aby pomóc wracającej do zdrowia matce w gospodarstwie i przy żniwach. Wyjazd z Krakowa i oderwanie od codziennego życia pozwoliły jej przemyśleć sytuację.

Uznała, że nawet jeśli Kwiecień ją zwolni, nie będzie się tym martwić. Powinna była pójść do pracy w odlewni. Albo do seminarium nauczycielskiego.

Teraz znów zaczęła myśleć o dalszej nauce. Wciąż też nie miała pojęcia, gdzie zamieszka, kiedy Franciszka wyprowadzi się do męża.

Któregoś dnia zwierzyła się matce, że nie wie, jak dalej pokierować swoim życiem, a ta tylko wzruszyła ramionami.

– Jak to jak? Najwyższy czas rozejrzeć się za mężem!

Klima popatrzyła na nią zaskoczona.

– Masz dwadzieścia lat – przypomniała jej Zofia. – Czas poszukać sobie porządnego, pracowitego narzeczonego. Z czasem będzie coraz trudniej.

Wkrótce Klima przekonała się, że podobnie myśli cała rodzina oraz sąsiedzi. Wszyscy pytali, czy ma narzeczonego, i przekonywali, że powinna kogoś znaleźć, zanim będzie za późno.

Choć po skończeniu szkoły ludzie na wsi zaczęli darzyć ją większym szacunkiem, nikogo nie interesowały jej ambicje zawodowe.

Kiedy wspominała o seminarium nauczycielskim, sąsiadki mówiły, że Zofia powinna być dumna z takiej córki, ale za chwilę przypominały, że najważniejsza dla kobiety jest rodzina. Szczególnie te sąsiadki, których córki poprzestały na czteroklasowej szkole, chętnie uświadamiały Zofii, że to żaden sukces wykształcić córkę.

– Jak ona teraz męża znajdzie? – martwiły się głośno. – Na zwykłego chłopca za bardzo uczona, a dla panów to ciągle chłopka.

Potem z dumą opowiadały o swoich córkach, rówieśniczkach Klimy, które lada chwila miały wyjść za mąż albo już to zrobiły. Niektóre nawet zdążyły zostać matkami.

Do Zofii przemawiało to bardziej niż podziw tych, którym imponowało, że Klima może zostać nauczycielką. Ciągle uważała, że dziewczyna powinna zostać na wsi, przy rodzicach i zająć się nimi na starość. Lepiej było wykształcić synów. Klemens zawsze to powtarzał...

Gdy więc Klima napomknęła o seminarium nauczycielskim, Zofia odrzekła, że najwyższy czas, aby zaczęła zarabiać na siebie i pomogła owdowiałej matce. Wzbudziła w niej poczucie winy i Klima zrezygnowała z tych planów.

Jednak wbrew obawom sąsiadek chłopcy na wsi byli nią zainteresowani. Chociaż wielu się krzywiło, że zrobiła się jakaś taka miejska, intrygowała ich.

* * *

Wiosną krowy Muchów pasły się w sadzie, ale kiedy drzewa zaczynały owocować, obawiano się, że mogą zadławić się jabłkiem albo gruszką. Prowadzono je więc na łąkę, która sąsiadowała z polami Macieja Gordona – najbogatszego gospodarza w Korczycach. Zwykle wyganiała tam krowy Janka, ale któregoś dnia zrobiła to Klima i porozmawiała chwilę z Gordonem, który pracował na swoim polu.

Jego rodzice mieli dużo ziemi, a Maciej był jedynym ich dzieckiem, które pozostało przy życiu, odziedziczył więc największe gospodarstwo we wsi. Ożenił się z posażną panną, a że był pracowity i przedsiębiorczy, jeszcze pomnożył majątek. Tu jednak skończyło się jego szczęście.

Dzieci rodziły się słabowite i żyły krótko. Przy życiu pozostał tylko jeden syn, który tak się jąkał, że trudno się było z nim dogadać. We wsi mawiano, że nic z niego nie będzie.

Przed dwoma laty zmarła żona Gordona, a on ciągle pozostawał wdowcem, choć niemal od dnia pogrzebu nieboszczki swatano mu różne dziewczyny. Początkowo nie miał głowy do żeniaczki, ale teraz coraz pilniej rozglądał się za nową gospodynią, bo choć zatrudniał służącą, w domu brakowało kobiecej ręki.

Miał na oku dwie wdowy w swoim wieku, które były dobrymi gospodyniami. Jedna nawet kiedyś mu się podobała, ale miała aż pięcioro dzieci, co trochę go zniechęcało. Druga z kolei nie podobała mu się wcale.

Były też młode panny i Gordon dobrze wiedział, że może poślubić każdą z nich, ale nie był pewien, czy niedoświadczona dziewczyna da sobie radę na tak dużym gospodarstwie. Już od roku rozważał różne kandydatki, ale żadna nie wydała mu się wystarczająco dojrzałą, by powierzyć jej funkcję gospodyni.

Teraz przyjrzał się Klimie, wyrosła na piękną kobietę i była taka ułożona, dystyngowana... Niemal jak jakaś dziedziczka. Spodobało mu się to.

Wypytał o Zofię, która niedawno poważnie zachorowała, a Klima podziękowała za troskę. Powiedziała mu, że matka szybko zdrowieje, a potem porozmawiali o gospodarskich pracach. Wyglądało na to, że Klima, choć mieszkała i pracowała w mieście, całkiem dobrze sobie radziła.

Zrobiła na nim wielkie wrażenie. Wydała mu się taka poważna i rozsądna.

Gordon pomyślał, że z taką żoną mógłby być spokojny o dom, gospodarstwo i syna. Pewnie doczekałby się kolejnych dzieci, które na pewno byłyby zdrowe i mądre po Klimie i po nim. Kiedyś dobrze zajęłyby się majątkiem, bratem, no i nimi na starość...

Pod jakimś pretekstem zajrzał do Muchów, gdzie Klima właśnie gotowała obiad, i zobaczył zadbane obejście i jej pracę. Porozmawiali trochę i znów zaimponował mu jej rozsądek i to, jak mądrze się wypowiada. A do tego jeszcze była ładna.

W przeciwieństwie do innych wiejskich piękności, które Gordon poznał, Klima nie zachowywała się wyniośle. Stanowiła niezwykle dla niego połączenie urody z mądrością, no i była wykształcona, co też mu się podobało.

Słyszał jednak, że zrobiła się „miastowa” i być może nie będzie chciała wyjść za chłopca. Uznał, że jeśli odrzuci jego oświadczyzny, na wsi będą się z niego śmiać za plecami. Przemyślał sprawę i zdecydował, że zanim oficjalnie się zadeklaruje, wybada teren.

Najpierw porozmawiał z zaskoczoną Zofią, która uznała, że byłby świetną partią dla Klimy. Nie musiałyby martwić się o pracę, zostałyby blisko rodziny, poza tym niczego nie brakowałoby jej u sąsiada, który był porządnym człowiekiem i miał ugodową naturę.

Zadowolony Gordon postanowił porozmawiać z Klimą jeszcze tego dnia.

Wieczorem wracał z pola tak, żeby ją spotkać i porozmawiać w cztery oczy. Kiedy samotnie ruszyła w stronę domu, podjechał i zaproponował jej podwiezienie.

Zagaił rozmowę o Krakowie, chorobie Zofii i gospodarstwie, więc Klima zainteresowała się jego sprawami i słuchała, jak opowiadał o planach i koniach. Wtedy spytał ją, czy myśli o zamążpójściu.

Zarumieniła się, mówiąc, że na razie jest potrzebna matce i powinna jej pomagać, przynajmniej dopóki Broniek nie pójdzie do pracy.

– Niejeden pewnie chętnie pomógłby twojej matce, gdybyś za niego poszła – powiedział Gordon.

Spojrzała na niego zdumiona i zapewniła, że nie chciałaby nikogo wykorzystywać, a jemu wydało się to takie skromne i rozsądne.

W końcu wyraził swoje zainteresowanie, na co dziewczyna wpadła w jeszcze większe zakłopotanie. Widać było, że nigdy nie znalazła się w takiej sytuacji. Gordon zapewnił, że może poczekać na odpowiedź, ale Klima przeprosiła go i oznajmiła, że nie chce wychodzić za mąż, być może w ogóle.

– Jak to? – zdziwił się. – Taka piękna i mądra dziewczyna została starą panną?

– A czemu nie? – wykrztusiła zmieszana i szybko pobiegła do domu.

Tam czekała na nią podenerwowana matka i rozemocjonowana Janka oraz Staszek, który udawał, że nic go nie obchodzą te głupie babskie sprawy. Zofia domyśliła się, dlaczego nagle Gordon podwozi Klimę. Jankę to zastanowiło i wypytała matkę, a ta przyznała, że sąsiad jest zainteresowany jej siostrą.

– Ona to ma szczęście – mruknęła Janka, nieco zazdrosna.

Chwilę zajęło jej pocieszenie się, że za kilka lat, kiedy i ona będzie panną na wydaniu, znajdzie sobie jeszcze lepszego męża.

Obie od razu zaczęły wypytywać Klimę, która zarumieniona po uszy przyznała, że istotnie, Gordon wspomniał o małżeństwie, ale nie były to oświadczenia.

– On tylko tak jakby powiedział mi, że jest to możliwe... – tłumaczyła.

– A ty co odpowiedziałaś? – chciała wiedzieć Zofia.

Klima szczerze i otwarcie wyznała, że nie zamierza wychodzić za sąsiada.

– No co ty?! – Janka nie wytrzymała. – Ja bym go brała!

Jej siostra tylko się roześmiała.

– Ty? Jeszcze dobrze od ziemi nie odrosłaś, skrzacie, a już chcesz iść za mąż?

Janka się obraziła i wytknęła Klimie, że już prawie dorównuje jej wzrostem, a „pod pewnymi względami” jest nawet większa od niej. Tu znacząco popatrzyła na swój nad wiek rozwinięty biust, co jeszcze bardziej rozbawiło Klimę.

Młodsza siostra jej nie rozumiała. Uważała, że dla takiej dziewczyny jak Klima, ładnej, choć nie aż tak jak ona, na dodatek mało obrotnej, Gordon to świetna partia. Najbogatszy gospodarz we wsi, spokojny, no i starszy, więc raczej nie będzie za parę lat uganiał się za młodszymi dziewczynami.

Janka od dziecka śledziła wiejskie plotki i takie historie nie były jej obce. Dobrze wiedziała, że rozsądna dziewczyna nie powinna ich unikać czy krzywić się z oburzeniem, tylko wyciągać z nich wnioski dla siebie.

Sama od dawna wiedziała, że wyjdzie bogato za męża.

– Będę sobie żyć jak dziedziczka – opowiadała koleżankom. – Wszystko robi służba, a ja tylko będę gonić ich do roboty, a sama odpoczywać.

– Jakby Klima poszła za Gordona, to miałyby służbę – zauważyła Nastka. – On ma parobka, pastucha i służącą do domu, a na lato przyjmuje jeszcze więcej ludzi.

– Klima jest głupia – orzekła Janka. – Zawsze taka była. Gubi nawet pieniądze – dodała, sięgając do kieszeni i dotykając monet, które przed wyjściem z domu podebrała siostrze.

Odkąd w wieku pięciu lat ukradła pieniądze zarobione przez Klimę i uszło jej to bezkarnie, robiła to regularnie. Szybko zrozumiała, że nikt jej nie podejrzewa – przecież była jeszcze taka mała, a przy tym grzeczna i słodka. Kto by uwierzył, że takie dziecko mogłoby kraść?

Nadal przy każdej okazji podbierała drobne sumy matce. Kiedy Bronek i Staszek zarobili coś, zatrudniając się do różnych robót albo dostali parę groszy od pana Floriana, Janka chętnie korzystała z okazji. Gdy nie mogli doliczyć się pieniędzy i Zofia wytykała im, że są roztrzepani, Janka nawet okiem nie mrugnęła. Najchętniej okradała Klimę, która uchodziła za „dziwną” i pozostawała w domu zbyt krótko, by się zorientować, co się dzieje.

W ciągu tych kilku lat Janka zgromadziła spore oszczędności, choć czasem coś sobie kupowała. Zawsze umiała wyjaśnić, skąd to ma: gdy tylko dostała jakieś drobne, kupowała za nie więcej niż ktokolwiek, tak dobrze się targowała. Często twierdziła, że dostała coś za wskazanie drogi albo inną pomoc wędrownym handlarzom.

Przez całe lata wszyscy jej wierzyli – była taką uroczą dziewczynką i rzeczywiście często ktoś coś jej dawał albo pomagał. Zofia pomyślała, że widocznie jej córka musi budzić w ludziach chęć obdarowywania jej. Martwiła się jednak, że może ją to zepsuć, i kiedy ktoś przy niej chwalił czy częstował czymś Jankę, próbowała to ukrócić. Nie podejrzewała, że dziewczyna od małego notorycznie kradnie.

Tylko raz Janka omal nie wpadła. Połaszczyła się na haftowaną chustkę, którą zobaczyła w domu swojej koleżanki Władki. Schowała ją w starym gliniaku na strychu, ale okazało się, że chustka należała do ciotki Władki i była dla niej cenną pamiątką. Ciotka podejrzewała o kradzież Jankę, bo ta interesowała się chustką, a potem nagle chustka gdzieś przepadła. Chciała sprawdzić, czy dziewczyna jej nie wzięła.

Janka z niewinną miną zaklinała się, że o niczym nie wie i nigdy niczego by nie ukradła, ale przeżyła piekło, obawiając się, że prawda wyjdzie na jaw. Wieczorem odbiła to sobie, podrzucając chustkę na gnojówkę przy domu Władki, ale od tamtej pory kradła tylko gotówkę albo rzeczy, których brak nie budził podejrzeń.

* * *

Dla Olka Dąbrowskiego to lato było szalone. Został studentem medycyny, ale na razie miał wakacje i spędzał je z Marcysią, którą znał niemal od dziecka. Jej ojciec był majstrem w odlewni i Marcysia nie musiała pracować, choć rodzice mieli ochotę wysłać ją gdzieś na służbę, żeby nauczyła się prowadzić dom, zanim wyjdzie za mąż. Ona jednak robiła, co mogła, aby tego uniknąć.

Odkąd odkryła, że Olek się nią interesuje, zaczęła fantazjować, że mogłaby za niego wyjść. Miał zostać lekarzem, a ona jako żona

lekarza miałyby służbę i tylko zarządzałyby domem. Nie musiałyby znać się na tych wszystkich pracach, do których goniła ją matka.

Olek nie myślał o żeniactwie, ale namiętne uściski i pocałunki z uroczą Marcysią w ciemnych bramach bardzo mu się podobały. Pozwalała mu na coraz więcej i Olka tak to pochłaniało, że zapominał o innych sprawach.

Na komodzie leżały listy Wiktorii Hallam, które miał oddać Franciszce Mohnarowej, kiedy ta wróci z podróży poślubnej. Obie praktycznie go wychowały i sam nie wiedział, ile te listy mogą zmienić w ich życiu – szczególnie w życiu Franciszki.

Dręczyły go wątpliwości, czy nie powinien jednak przemilczeć tej sprawy dla dobra Franciszki i jej małżeństwa. Rozmawiał o tym z Klimą, która zgodziła się z nim, że nie mają prawa ukrywać tych listów, jednak Olek widział, że też nie jest tego pewna. Chętnie omówiłby to z kimś jeszcze, ale Marcysia nie rozumiałaby miłości dwóch kobiet, poza tym marna z niej była doradczyni. Wychowano ją na posłuszną żonę, więc gdy Olek o coś ją pytał, przytakiwała tylko i odpowiadała: „Jak uważasz”.

To mu uświadomiło, że choć Marcysia jest urocza, to jednak brak jej rozumu i przenikliwości. O swoich problemach Olek wolał rozmawiać z Klimą i zaczął za nią tęsknić.

Gdy dowiedział się, że Broniek ma przyjechać do jego ojca po lekarstwa dla Zofii, został w domu, żeby się z nim spotkać. Chciał się umówić na wizytę w Korczycach, a może nawet pojechać z Bronkiem i wieczorem wrócić piechotą.

– Co tam słyhać w Korczycach? – zagadnął, gdy brat Klimy pojawił się na progu, a ten od razu podzielił się najnowszą nowiną:

– Sąsiad oświadczył się Klimie.

Olek zaniemówił ze zdumienia, a doktor zaczął wypytywać o tego sąsiada.

– To porządny człowiek – odparł Broniek. – Najbogatszy gospodarz we wsi, bardzo pracowity. Niby mu odmówiła, ale wszyscy ją przekonują, żeby za niego wyszła. Mama bardzo by tego chciała. Miałyby Klimę blisko, no i niczego by jej nie brakowało. Zostałyby pierwszą gospodynią we wsi.

Doktor tylko pokiwał głową, a Olek był oburzony. Klima nie miała ambicji, by zostać „pierwszą gospodynią we wsi”. Znał ją od dziecka i dobrze wiedział, że zawsze pociągał ją świat, nie osiadłe życie na prowincji.

Od razu chciał jechać do Korczyc i porozmawiać z nią, ale przyszło mu do głowy, że w tej sytuacji jego wizyta mogłaby być różnie odebrana. Klima twierdziła, że w Korczycach plotkowano jeszcze bardziej niż na krakowskich podwórkach.

Jednak ta sprawa nie dawała mu spokoju. Powoli docierało do niego, że wcale nie chce, żeby Klima wyszła za mąż za pierwszego gospodarza we wsi czy za kogokolwiek.

Przez cały wieczór nie mógł myśleć o niczym innym. Kiedy on i Klima zaczęli dorastać, często o niej fantazjował, choć wydawało mu się to zakazane, bo byli za młodzi. Na podwórku Klima uchodziła za jego krewną, więc starał się stłumić takie myśli, ale przecież nie byli spokrewnieni. Rozumiała go i mu się podobała. Nawet jeśli przejściowo interesował się innymi dziewczynami, myśli o Klimie powracały.

Zaniedbał Marcysię, która powoli zaczynała rozumieć, że jej matka miała rację, robiąc jej karczemną awanturę, gdy dowiedziała się, że widziano ją w bramie z Olkiem. Wytłumaczyła jej wtedy, że chłopak, który ma zostać lekarzem, nie ożeni się z taką prostą dziewczyną, więc powinna czym prędzej wybić go sobie z głowy i dbać o swoją reputację.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji

Spis treści

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)